

Uważam, że mylą się ci komentatorzy, którzy uważają, że wyjątkowa brutalność walki PiS z PO, i jednak wyraźnie mniejsza od strony Platformy, że nieustanne obrażanie jednych przez drugich, ustawianie do bicia, szukanie haków, nawet na cmentarzach, to burza powierzchniowa, jakby trochę udawana na potrzeby kampanii, która przekształci się we współpracę po wyborach.

Kampania brutalna i odkrywczą

W niedzielę zakończony zostanie proces wyłaniania władz. Wybraliśmy parlament, wybierzemy prezydenta. Chciałbym się podzielić kilkoma refleksjami, które nasunęły mi się na tle tegorocznych wyborów. Na samym początku trzeba powiedzieć, że nasz mechanizm demokratycznego wyboru działa. To uwaga banalna, ale moim zdaniem najbardziej podstawowa.

Trzeba głębiej dyskutować, czy jako obywatele korzystamy z tego mechanizmu dobrze, czy to, co bierzemy za jego wady, nie jest wadą naszego obywatelstwa? Należy, choć z mniejszym zacięciem niż dotąd i z większym zrozumieniem dla argumentów przeciwnych, dyskutować o tym, jak ten mechanizm może służyć nam lepiej. Nie wolno jednak zapominać, czy co gorsze świadomie przemilczać, że konstrukcja ustrojowa, którą stworzyliśmy w ciągu 16 lat, działa nienajgorzej. I warto pamiętać też o przysłowiowej mądrości: lepsze bywa wrogiem dobrego.

Czy umarł postkomunizm?

Słysząc opinie, że wyniki obecnych wyborów świadczą o śmierci postkomunizmu. Uważam, że to nieprawda. W naszym pejzażu wyborczym ta formacja ma od roku 1990 mniej więcej taką samą pozycję, kilkunastu procent głosujących. Nie odbiega to od udziału szeroko pojętej nomenklatury w społeczeństwie czasów PRL. Głównym czynnikiem, który określił wynik wyborów, jest natomiast utrata przez SLD statusu partii największego zaufania publicznego, zarówno w wśród elektoratu socjalnego, jak i biznesowego. To zaufanie rosło stopniowo przez ponad 10 lat, osiągnęło szczyt w wyborach 2001 roku, a potem się załamało. Pisałem już o tym w „Gazecie”.

Najważniejszym powodem załamania była porażka rządu Leszka Millera w obniżeniu bardzo wysokiego bezrobocia i poprawieniu warunków życia. Rząd ten padł ofiarą tych samych procesów ekonomicznych, które podkopały rządy AWS i UW, a potem AWS. Nie było i nie ma na nie rady prostej i, szczególnie w przypadku bezrobocia, szybkiej. Rząd Millera padł oczywiście także ofiarą obietnic wyborczych - nie urosły gruszki na wierzbie, oraz ofiarą łapczywego, patologicznego żerowania członków Sojuszu na stanowiskach państwowych. Formacja z wrażliwości socjaldemokratyczna czy częściowo socjalistyczna, a z pochodzenia postkomunistyczna, istnieje. Żadna inna, która mogłaby zabudować lewą stronę sceny, nie powstanie. Nie sądzę też, że jej rolę przejmie Samoobrona, byłoby to również bardzo niekorzystne dla politycznego obrazu Polski.

Jeżeli rządy obecnej kadencji poniosą porażkę w sprawach ekonomicznych i socjalnych, zapewnienia pracy, wzrostu dochodów, poprawy służby zdrowia, czyli w sprawach najważniejszych dla wyborcy na całym świecie, to powstaną warunki do ponownego odzyskiwania przez lewicę zaufania społecznego wykraczającego poza elektorat „postkomunistyczny”.

Kilka kolejnych uwag wiąże się ze skutkami rezygnacji Włodzimierza Cimoszewicza, który najbardziej zagrażał kandydatom prawicowym. Jego rezygnacja przesunęła poza pole walki wyborczej podział według okopów z czasów PRL. To zaś ujawniło ciekawe rzeczy.

Podziały polityczne pod publikę.

Po pierwsze, podziały wymyślane są po to, żeby omamić wyborcę i zmieniane z dnia na dzień zależnie od oceny sytuacji. Już następnego dnia po rezygnacji Cimoszewicza przestały istnieć Polski AK i PRL, jakby ich nigdy nie było, a pojawiły się, jak Filip z konopi Polski liberalna i socjalna. Oba podziały, choć jakoś realne, zostały doprowadzone do absurdu, który miał być chwytliwy dla wyborcy. To przecież kłamstwo, że Polska dzieli się na PRL-owców i AK-owców. I to kłamstwo, że Platforma chce wpędzić w biedę socjalny naród, a wzbogacić górne kilka procent liberałów. Już wydawało się, że podział nawiązujący do czasów PRL nie wróci w tej kampanii. Ale wrócił, dwa dni temu, gdy na - zgodny z prawdą - zarzut Tuska, że PiS skumał się z Lepperem dla odłożenia wyboru marszałka, usłyszeliśmy, że za to Platforma weszła w brzydką spółkę z Jerzym Urbanem i SLD przeciwko wspaniałej reszcie z Prawem i Sprawiedliwością na czele.

W manipulacji podziałami, w wymyślaniu haczyków na wyborcę (przyspieszenie, sanacja, chadecja etc.) od dawna mistrzem jest lider PiS, główny strateg (a nie jacyś piarowcy) obu kampanii tej partii. Ostatnio szczelnie schowany, bo dla ogromnej części elektoratu, o który walczy teraz jego brat, jest to polityk budzący lęk swoimi pomysłami.

Kompromitacja rewolucjonistów moralnych.

Kolejna obserwacja po zniknięciu ze sceny najważniejszego i wspólnego wroga obu partii wiąże się z naprawą obyczajów politycznych, którą zapowiadają w deklaracjach wyborczych Prawo i Sprawiedliwość, ale także Platforma Obywatelska. Obyczaje te miały być popsute głównie przez postkomunistów. Można było zatem oczekiwać, że skoro z placu boju wyeliminowani zostali destruktorzy moralności publicznej, a zostali wyłącznie naprawiacze, to konfrontacja między nimi dokonywała się będzie z zachowaniem owych standardów, które chce się przywracać.

Tymczasem właśnie po rezygnacji Cimoszewicza kampania prezydencka, już wcześniej rynsztokowa, o wiele bardziej jeszcze się w nim unurzała. I rzecz znamieną, ci, którzy najgłośniej mówią o upadku moralności publicznej i potrzebie jej przywracania, nawet metodami rewolucyjnymi, i jeszcze powołują się na chrześcijaństwo, mają najmniejsze skrupuły przed codziennym łamaniem norm moralnych i gwałceniem przykazań. Takiego choćby, jak „nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu swemu”.

Ta rozbieżność słów i czynów stawia pod znakiem zapytania szczerść deklaracji o naprawie moralnej, zmusza do postawienia pytania, czy postulat ten nie jest jeszcze jednym haczykiem wyborczym. Stawia też pod znakiem zapytania moralną legitymację głosicieli odnowy do jej robienia, bo nikt jeszcze nie naprawił obyczajów, jeżeli zarazem zaprzeczał im własnym postępowaniem.

Wojna Polski Wschodu i Zachodu.

Cała kampania wyborcza, parlamentarna i prezydencka, pokazuje jaskrawo, że między dwoma głównymi partiami prawicy, a właściwie między dwoma głównymi środowiskami politycznymi prawicy istnieją podziały nie mniej głębokie, a kto wie, czy nie większe, aniżeli między lewicą i prawicą. Tu także zniknięcie wspólnego wroga odsłoniło głębszą prawdę, pokazało, że wspólnota solidarnościowego rodowodu ma siłę spajającą tylko wtedy, kiedy naprzeciw jest licząca się partia postkomunistyczna. Bez niej wspólny rodowód traci siłę spajającą.

Dlatego uważam, że mylą się ci komentatorzy, którzy uważają, że wyjątkowa brutalność walki PiS z PO, i jednak wyraźnie mniejsza od strony Platformy, że nieustanne obrażanie jednych przez drugich, ustawianie do bicia, szukanie haków, nawet na cmentarzach, to burza powierzchniowa, jakby trochę udawana na potrzeby kampanii, która przekształci się we współpracę po wyborach. Gwałtowność sporu wyborczego to odbicie głębokiej różnicy, jaka dzieli środowiska, z których obie partie wyrastają. I nie jest to podział na Polskę socjalną i liberalną, lecz na „bardziej wschodnią” Polskę PiS i „bardziej zachodnią” Polskę Platformy, na Polskę gorzej wrośniętą w Europę i gorzej się w niej czującą i na Polskę lepiej wrośniętą w Europę i lepiej się w niej czującą.

Tu nie chodzi o podział geograficzny, ale widać go nawet w geograficznym rozkładzie głosów na PiS i PO. Nie jest to podział na socjalną większość i liberalną garstkę, lecz podział po połowie. Te dwie partie są dziś wyborczo zakotwiczone w dwu mocno od siebie odmiennych elektoratach i to jest podział o wiele bardziej podstawowy, niż podział na Polskę postpeerelowską i postsolidarnościową.

Każda z obu partii wie, że tego zakotwiczenia nie może utracić, co sprawia, że pole ich koalicyjnego kompromisu będzie niewielkie, a pole walki duże. Jest prawdopodobne, że koalicja powstanie, szczególnie jeżeli wygra Tusk, ale będzie to bardziej koalicja wzajemnej walki niż współdziałania. W tym związku Platformie przypadnie rola zderzaka, chłopca do bicia, raczej w nim spłonie niż rozkwitnie i wątpię, czy wytrzyma do końca.

A Ci, którzy czekają na jakąś rajską Czwartą Rzeczpospolitą, będą musieli jeszcze czekać. To co widzimy do tej pory przypomina raczej karykaturę Trzeciej. I pewno tak to będzie wyglądać?

(Gazeta Wyborcza 21.10.2005 r.)